

Cyt, iskierka zgasta

Rafałek marzył o pierwszej komunii. I miał ją dwa dni przed śmiercią. Wiktoria zmarła wiosną, tak jak przyśniło się jej mamie. A ostatni tort Julitki był z truskawkami. – Rodzice wszystko by oddali, żeby jeszcze choć raz swoje dziecko przytulić.

--

– Przed wejściem na oddział robię głęboki oddech, uśmiecham się, a problemy zostawiam pod drzwiami. Bo smutnych ludzi tu nie potrzeba – komentuje Jagoda Jeziorowska, która od prawie 20 lat prowadzi zajęcia muzyczne dla dzieci na oddziale onkologicznym szpitala przy ul. Spornej. – O Fundacji Gajusz powiedziała mi sąsiadka. To był koniec lat 90. Siedzibę mieli w piwnicy na Anstadta. Tam poznałam Tisę. Rzuciła, że przydałby się na oddziale ktoś, kto pośpiewa i zagra. Jak pierwszy raz tam weszłam, to po prawej stronie leżała Marysia z domu dziecka. Śpiewałam jej i rysowałam piktogramy do piosenek. To było 2 dni przed jej śmiercią. Nikogo przy niej nie było. Zrozumiałam, że nawet jak dzieci są już bardzo chore, to i tak chcą postuchać muzyki – opowiada.

Z niektórymi z nich czuje się szczególnie związana, choć dawno już umarli. Tak jak z Julcią, która na leczenie przyjechała z Mołdawii. – Miała może 5 lat. Po polsku trochę zaciągata. Mówiła „Zrobimy sobie imprezkę”. Szłyśmy wtedy do łazienki, brałyśmy coś à la mikrofon i w tej łazience robiłyśmy imprezkę. Gdy miała wypis ze szpitala, to razem z mamą i siostry zostały u mnie w domu na Wielkanoc. Któregoś dnia nachyliłam się, żeby jej dać buziaka, a ona powiedziała „Kocham cię”. Z jej mamą wybierałam sukieneczkę do trumienki. I bukiecik jej kupiłam. Rodzina zabrała ją w metalowej trumnie do Mołdawii – wspomina.

Arteterapią na oddziale zajmują się także Małgosia i Iwona, które szkolenie dla wolontariuszy skończyły w Gajuszu kilka lat temu. – Zawsze chciałam pracować z dziećmi potrzebującymi pomocy. Na emeryturze pomyślałam, że czas spełnić marzenie – mówi Iwona. – A ja skończyłam liceum plastyczne. I któregoś dnia piteczka mi w głowie podskoczyła jak u Pomysłowego Dobromira, że może to się wreszcie na coś przyda – opowiada Małgorzata Kania prowadząca na onkologii zajęcia plastyczne.

To nie było jej pierwsze zetknięcie z tym miejscem. Kilka lat wcześniej zachorował dwuipółletni synek koleżanki z pracy. – Przyszłam przez grzeczność. Bo my w pracy za sobą nie przepadałyśmy. Wspierały ją inne dziewczyny. Tyle że wyjechały na urlop i zostałam tylko ja. Zadzwoiłam więc z pytaniem „Co mogę dla was zrobić?”. Usłyszałam „Czy mogłabyś do nas przyjść?”. Nie było łatwo. Stasiu powtarzał ciągle „Idź stąd”, ale nie dałam za wygraną. Choroba nas połączyła. Spędziłam z nimi 4,5 roku z przerwami. Dziś Stasiu jest przystojnym 16-latką, a ja stałam się częścią ich rodziny. Po tych ponad 4 latach byłam bardzo zmęczona. Zrobiłam przerwę, by wziąć oddech. Po 3 kolejnych poczułam, że jestem gotowa wrócić na oddział. I tak trafiłam do Fundacji Gajusz – relacjonuje Małgosia.

Wiedziała, że nie chce iść do dzieci starszych. – Bałam się ich świadomości. Planowałam pójść piętro wyżej, do dzieci małych z oddziału siódmego – wspomina. Ale tego dnia, gdy jako

wolontariuszka szła po raz pierwszy, przeczytała w mailu, że psycholog prosi o wsparcie dla 10-letniej dziewczynki, która po operacji bardzo słabo mówi, nie chodzi i ledwie porusza dłońmi. – Miałam to gdzieś z tyłu głowy, a i tak poszłam do maluchów. Wolontariuszy na oddziale jeszcze wówczas prawie nie było, więc mamy patrzyły na mnie podejrzliwie. Żadna nie chciała, bym bawiła się z jej dzieckiem. Wtedy przypomniałam sobie o 10-latce. Zeszłam na „szóstkę”, której tak się bałam. A tam moja imienniczka Małgosia siedziała i patrzyła wielkimi oczami. Chciała, żebym jej czytała. To była miłość od pierwszego wejrzenia. Nie mogłam się doczekać następnego dnia – opowiada.

– I tak Gosia znów zaczęła przychodzić do szpitala prawie codziennie. Czasami siedziałyśmy całymi popołudniami i wieczorami, nawet do 23:00. – komentuje Iwona. Jedna rzecz nie dawała Małgosi spokoju. Dlaczego ta dziewczynka leży sama. – Okazało się, że jest w rodzinie zastępczej, która mieszka w innym województwie. Na początku byłam na nich trochę rozżłoszczona, bo większość tygodnia Małgosia spędzała w samotności. Później zobaczyłam, że gdy zastępczy tata karmi ją tyżeczką, to ona jest preszczęśliwa. I cała złość mi przeszła.

Małgosia była bardzo wierząca. Tyle co ja się z nią modliłam, to przez całe lata tego nie robiłam. Bo chciałam, żeby czuła się jak najlepiej. Rokowania były dobre, ale gdy po raz kolejny przyjechała na oddział, niepokojąco schudła. To zrodziło we mnie obawy – opowiada.

3 tygodnie później dowiedziała się, że jest wznowa. Gdy było już bardzo źle, rodzice zastępczy zostali w Łodzi na stałe. – Któregoś dnia chciała przytulić mnie za szyję, ale nawet na to nie miała już siły. Wtedy porzuciła się najbardziej oschła pielęgniarka. A ja tego dnia pożegnałam się z Małgosią. Poza słowami. Zmarła następnego popołudnia. Poczułam wielką ulgę, że się zbyt długo nie męczyła – komentuje. I choć pogrzeb był w innym mieście, to pojechała. Jej mała imienniczka została pochowana z paznokciami pomalowanymi na różowo, fioletowo i zielono. Chciała być jak księżniczka, więc krótko przed śmiercią zrobiły jej manikiur i pedikiur. – Nie mam biologicznych dzieci. Ale Małgosię kochałam jak własne dziecko. Nasza miłość trwała rok i 16 dni.

„Swoje” dziecko do dziś ma w sercu także Iwona. – Jak przyszłyśmy na oddział, Rafatek już tu był. Miał może 6 lat. Uwielbiał robić biżuterię z koralików. I marzył o pójściu do pierwszej komunii. Bardzo chciał żyć, ale gdy dowiedział się, że ma wznowę, to się poddał. Jego mama mieszkała na wsi. Intuicja podpowiedziała jej, by na szybko urządzić komunię w wynajętej kawalerce. Wszystko załatwiła w ciągu jednego dnia. Rafatek zmarł 2 dni później – wspomina Iwona.

O komunii marzył także Marcel, którego wychowywała babcia. – On miał ze strony taty azjatyckie korzenie, ale świetnie znał historię Polski i był największym patriotą ze wszystkich dzieci. Uroczystość zorganizowałyśmy mu w szpitalnej świetlicy. Wycięłyśmy ptaszki do ozdobienia sufitu, a z tablicy zrobiliśmy ołtarz. Marcel potraktował komunię jako przeżycie duchowe. Jego pogrzeb był jednym z najsmutniejszych, na jakich byłam – wspomina Małgosia.

Jagoda również uczestniczy w pogrzebach dzieci, które są jej szczególnie bliskie. Tak jak 12-letnia Paulinka, która dzień przed śmiercią zobaczyła w pokoju piękną panią w sukni. – Jak umarła, to ubierałam ją w sukienkę razem z jej ukochaną ciocią i śpiewałam jej przy tym „Żabkę

małą”. Mama nie była w stanie tego zrobić. A ja cały czas do niej mówiłam. „Teraz nóżki daj, a teraz trzeba ci łańcuszek zapiąć” – wspomina. Nad grobem pożegnała także Angelikę „Smoczycę”. – Ona nie chciała być księżniczką. Różowego koloru nie tolerowała. Na powitanie mówiłam do niej „Cześć, Dyziu!”. I specjalnie dla niej nauczyłam się piosenki o dinozaurach – opowiada.

Najgorzej gdy przy wejściu na oddział dowie się, że któreś z dzieci odeszło. – Wtedy nie mam siły iść dalej. Chętnie bym zawróciła. Ale dzieci już krzyczą „O, ciocia Jagoda, będziemy śpiewać!” – komentuje. O śmierci na oddziale prawie się nie rozmawia. – A i tak, gdy dziecko umiera, panuje grobowa atmosfera. Pozostate czują, choć nikt nic nie mówi.

Stasiu miał na oddziale bliską koleżankę Wiktorię. Też 4-latkę. Byli zakochani i planowali ślub. Jej mama często mówiła, że ona umrze wiosną, bo jej się śniła zielona góra i grób Wiktorii pod drzewem. I rzeczywiście umarła wiosenną porą. Staś ani razu o nią nie zapytał. Czułam, że on wie. I że pytanie o Wiktorię ma na ustach, gdy patrzy na mnie albo na mamę, ale go nie zadaje – wspomina Małgosia.

Jeden raz zdarzyło jej się otwarcie rozmawiać o umieraniu. – Na sali z Małgosią leżała Ola. Kilka miesięcy po jej śmierci oprowadzałam po oddziale nastolatkę, która była koleżanką Oli. Spojrzała na jej łóżko wzrokiem pełnym bólu, mówiąc „No widzi pani, mnie czeka to samo. Bo każdy tu umiera”. Tłumaczyłam, że nie każdy. „Ale ja umrę”. „Ja też”. To ją zdziwiło. Myślała, że jestem chora. Skomentowałam, że przecież każdy z nas umrze. Nie pocieszyło jej to chyba, ale żyje do dziś – opowiada.

– Dzieci czują, że umierają, mimo że rodzice o tym nie mówią. Dzieci chcą chronić rodziców, a rodzice – dzieci. Nawet przy sobie nie płaczą. Choć zdarza się, że ktoś coś powie. Jak ten 17-latek, który oznajmił, że już nie będzie się leczyć i chce do domu. Zdążył pojechać i umarł u siebie. A czasami rodzice nie pozwalają dziecku odejść. Pamiętam rodzinę, która wezwwała karetkę do umierającego synka, choć już od dawna było wiadomo, że on odchodzi. I wreszcie mógł w tej karetce bez rodziców spokojnie umrzeć – opowiada Jagoda.

Niedawno Małgosia zrobiła dla Iwonki foto album. – Jak zobaczyłam zdjęcia tych wszystkich dzieci, które umarły, to się popłakałam. O, tu jest Rafatek, a tu Agatka, która zmarła tuż przed swoją osiemnastką – komentuje Iwona. – Ludzie myślą, że dziecko chore onkologicznie to tylko leży w łóżku. A choroba i umieranie tak nie wyglądają. Na początku wydawało mi się, że będę uzdrawiać te dzieci, więc śmierć Małgosi była dla mnie straszną porażką. Z czasem rozumiałam, że cudownie jest dawać im radość i trochę normalności – mówi Małgosia. I dodaje, że w zetknięciu ze śmiercią pieniądze traci wartość. – Zobaczyłam raz pana w garniturze Hugo Bossa czekającego na diagnozę dziecka. Pomyślałam sobie „Za chwilę będziesz latał po oddziale w majtkach i klapkach. Może i na początku to będą Lacoste’y, ale później kupisz sobie klapki w sklepie na rogu”. I tak właśnie się stało. Dziś myślę, że każdy, kto może, powinien pójść na rok wolontariatu. Bo to uczy życia i pokory.

I tę pokorę słysząc w jej głosie także wtedy, gdy wspomina śmierć sprzed roku, Julitki, która była na „siódemce”: – Piekłam dla niej na urodziny ostatni tort. To był listopad, więc Ania Piekutowska (wiceprezes Fundacji Gajusz) musiała się sporo nabiegać, żeby znaleźć truskawki.

Czuliśmy, że prezent pod choinkę trzeba będzie dać jej wcześniej. A ona dopytywała mamę o święta. „Będziemy mieli w tym roku choinkę?”. „Tak”. „A jaką? Dużą?”. „Tak, dużą”. „Taką do nieba?”. „Tak, taką do nieba”.

Jagoda oswaja śmierć dzieci w drodze ze szpitala do domu, jak jedzie autobusem numer 57. – Nie sposób tego nie przeżywać. Ale zawsze zostaje nadzieja. Bo są przecież kolejne dzieci. Ważne, żeby nie stracić z oczu tych, które żyją i się leczą. Tisa (prezes Fundacji Gajusz) ma rację, gdy mówi, że najważniejsze, by dzieci nie umierały w samotności i cierpieniu. Ta praca oswoiła mnie z umieraniem. Pomogła mi przy śmierci męża. Czułam, że odejdzie w domu i się tego nie bałam. Ale trudno jest zrozumieć śmierć dziecka. Rodzice są bardzo zmęczeni chorobą, a jednocześnie wszystko by oddali, żeby jeszcze choć raz swoje dziecko przytulić.

Czasami Jagoda ma przed oczami dziewczynkę z oddziału, która wzięta kiedyś udział w jakimś spocie. – Śpiewali tam kołysankę „Na Wojtusia z popielnika”. Przy słowach „Cyt, iskierka zgasta” robiło się nagle ciemno. I ona naprawdę później zmarła. Tej piosenki już nigdy więcej na oddziale nie zaśpiewam.

Spisała Karolina Tatarzyńska